Nr. 17. We Lwowie dnia 23. Kwietnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

16)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

(Wchodzi Mojsze z prowadzącym go góralem.)

Mojsze

(z wiaderkiem wódki, pokornie, ze strachem.)

Panowie, przepraszam,
ale ja powiem, że jasny pan hetman
ostro przykazał, coby więcej wódki
już wam nie dawać... Będzie wielka bitwa,
tak jest potrzeba, abyście, panowie,
byli na trzeźwo...

1-szy góral.

Ej ty głupi żydzie!
Nalewaj wódkę, jeżeli nie pragniesz,
ażebyś wisiał razem z twym hetmanem.

Mojsze.

Co ja bym pragnął?!... Ja wiem: tak powiedział
jasny pan hetman, ale ja tak myślę,
co komu wódka zaszkodzi? Panowie!
Mojsze jest dobry, daje pić, co chcecie —
całą piwnicę...

(Górale, powstawszy z miejsc, podchodzą do żydka z kubkami. Ten im nalewa.)

3-ci góral

(trącając czerpakiem z innymi.)

Na zdrowie!

(Piją.)

1-szy góral

(do Krzysia.)

Pod nogę!
zagraj nam, Krzysiu, pod nogę.

Krzyś.

Ha! człowiek
jušci-by rad był posłuchać hetmana,
ale kiej idzie o granie... Haj! lubię
swoje gęśliczki... tak rozmiłowany-m
w naszej muzyce, że zagram...

(Gra „zbójnickiego“.)

Górale

(z ciupagami do góry zaczynają tańczyć zbójnickiego.)

4-ty góral

(podchmielony, do Mojszy.)

Mosieczku,
luby Mosieczku! stańże nam w środeczku!

(Wciąga go w koło.)

Mojsze.

Co nie mam stanąć? jak panowie każą!...
żydek usłucha... on bardzo posłuszny — — —

Górale

(tańcząc, uderzają go po koleji ciupagami w głowę.)

Mojsze

(prawie z płaczem, uginając grzbietu.)

Oj oj! ojojoj!

3-ci góral.

Cóż to? pchła ugryzła?
Poczekaj, Mojsze, zaraz ją zabiję!...

(Uderza go ciupagą w głowę.)

Mojsze (j. w.)

Panie jenerał! ojoj!

6-ty góral.

Dać mu spokój!
Co wam się pastwić nad żydem?

1-szy góral.

(wypychając Mojszę.)

Do Sury!
Będzie potrzeba, my-ć tam ku pierzynie

pójdziem z dzbanuszkiem... Zobaczymy Mośka,
jak się zagrzewa — bez wódeczki.

4-ty góral.

Krzysiu!
Raźniej a skoczniej!... Haj! na taką nutę:

(śpiewa, stanąwszy przed Krzysiem.)

Panowie, panowie!
będziecie panami!
ale nie będziecie
przewodzić nad nami!

(Zjawia się)

Czepiec.

Cicho!

2-gi góral.

O, Czepiec! wstałeś?

Czepiec.

Cicho, mówię:
Czy to nie wiecie, że hetman przykazał,
aby milczenie było jako w grobie.

1-szy góral.

Nam-ci tu jeszcze do grobu daleko,
a przykazować wara i hetmanom...
Ty nam przewodzisz, ty, Czepcze Wasylu!
Ktoby tam ufał paniętom...

Czepiec.

Zapewne!...
Wiedziałem dobrze, jakich mam junaków...
Z taką watahą — — —

4-ty góral.

Szedłbyś do Krakowa
rozbijać skarbiec królewski...

Czepiec.

Jej Bohu!
Trochę śrybelnych abo i złocistych —
wiedzą — obrzynków...

3-ci góral.

Juścić! człek tu siedzi,
jak na pokucie.

Czepiec.

Żebyć ino większej
nie było dla nas pokuty!

Inny z górali.

Jakożby?

Czepiec.

Wiedzą: pan hetman za mało zostawił
ludzi na zamku. A imć pan Jarocki
jednym podmuchem zmiecie nas ze świata,
jak proch z panewki...

5-ty góral.

Skrępuje, zakuje
i przed swem wojskiem popędzi na sądy?

Czepiec.

Ktoby tam sądy czynił w takich czasach!
odrazu pójdziem — ot, tak!

(Czyni ręką odpowiedni ruch naokoło szyi.)

1-szy góral.

Co? Podyndać?

Czepiec.

Ano, podyndać...

6-ty góral.

Nie! do upadłego
bronić się będziem.

Czepiec.

Na nic nam obrona...
I kul nie starczy i prochu za mało,
a pan Jarocki ma tego, by ziarnek
wymłóconego jarca we stu ćwiertniach.
Ludzi z nim idzie, jak szarańczy — wszyscy
w dobrym rynsztunku.

5-ty góral.

Haj! bieda! Co robić?

Inny z górali.

Trzeba wymyśleć na to jaki środek...
Z nas by tam żaden jeszcze nie chciał wisieć.

5-ty góral.

Czepiec, ty głowę masz, że sam Janosik,
choć najmądrzejszy był na całym świecie,
nie wstydziłby się nosić jej na karku...

Czepiec.

Może wymyślę, ino zapytuję:
będziecie słuchać?...

6-ty góral.

A któżby nie słuchał,
kiej ma dwie drogi przed sobą: na życie
lebo ku śmierci...

Czepiec.

A jeszcze wam jedno
powiem, mołodcy: chodzą takie wieści,
że nasz pan hetman jest zdrajcą...

2-gi góral.

Haj! prawda!
My to słyszeli. Tak i pan Zdanowski
nazwał hetmana... Ale kogo zdradził?

Jan Kasprowicz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

13)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Wroński dopiero w Piotrowsku, wśród otoczenia rodaków, wspólnie z nim tam więzionych, przyszedł do stanu normalnego, bo podczas całej, długiej drogi od Warszawy aż do Piotrowska był w ciągłej gorączce, nadto chorował po drodze na reumatyzm stawów, którego się nabawił po więzieniach rozmaitych; cierpienia te powtarzały się w późniejszych czasach dosyć często i powodowały nieraz przerwy, nawet całomiesięczne, w jego zajęciach.

Poprawiwszy się chwilowo na zdrowiu, dzięki staraniom i opiece Franciszka Woźniackiego, operatora i praktyka szczęśliwego, rodem z Warszawy, a później głośnego chirurga w Irkucku*), Wroński ochłonął z wrażeń nieprzyjemnych podróży i zabrał się z zapałem do rysowania, lecz że nie miał przy sobie na razie nic więcej nad ołówki i farby wodne, więc tworzył tymczasowo pejzaże ołówkowe i akwarelowe. W taki sposób powstało kilka serji kompozycji wielce udatnych, wykonanych częściowo na tle krajobrazów rodzinnych, częściowo na podstawie studjów nowych, uskutecznionych w najbliższych okolicach Piotrowska. Akwarele, przedstawiające cztery pory roku, były odesłane na wystawę do Warszawy. Cedry syberyjskie, modrzewie, pichty i inne drzewa kraju Daurskiego oddawał Wroński na swych obrazach z prawdą nieporównaną. Rysunki swoje ołówkowe, te najmniej wdzięczne utwory artystyczne, doprowadził do doskonałości możebnej tak, że wszyscy jednogłośnie przyznawali im wartość wysoką. Wiele z tych rysunków dostało się później do Petersburga, niektóre przesłano do Sztokholmu, do Bukowskiego, mała ich część pozostała w Irkucku, a jeszcze mniejsza w kraju. Pomimo pochwał, jakich nie szczędzono Wrońskiemu, tak dobrze na Syberji, jak i po za jej granicami, sprzedaż rysunków jego była nie łatwą, stąd też niedomagania finansowe ciągle go prześladowały i tylko mocą opieki, prawdziwie ojcowskiej, jaką otoczył Wrońskiego współtowarzysz więzienia Konstanty Siciński, bardzo zdolny amator rzeźbiarz i malarz minjatur, własnym sposobem i pomysłem wykonywanych, był „malarz“ w stanie oddawać się bez przerwy zawodowi artystycznemu.

Wskutek rozporządzenia władzy Irkuckiej, więźniowie stanu, internowani w Piotrowsku, zostali przewiezieni do Siwakowej nad Ingodą, a następnie pewną ich część przesiedlono do Darasunia, czyli do wsi i zakładu leczniczego i kąpielowego, położonych nad rzeczką Turą,

*) Czynność leczniczą Woźniackiego w Irkucku nazwać można jednem pasmem prac dla dobra ludzkiego podjętych, a prace te znamionowały uczucia wysokiego altruizmu, jakie posiadał ten człowiek, co umiał trudem własnym z chirurga, jakim był przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie wykształcić się na dobrego operatora i lekarza niepospolitego, a nadto na prawdziwego koiciela cierpień ludzkich. Z pomiędzy wielu faktów, jakie mógłbym tu przytoczyć na udowodnienie zdań wyżej wypowiedzianych, wybieram jeden tylko, ale taki, który potrafił opromienić sympatyczną osobistość Woźniackiego prawdziwą aureolą poświęcenia bezinteresownego, rzec nawet można — nadludzkiego. Fakt, o którym mowa, był taki:

Dr. Birfrejnd, polak, skazany podczas powstania na deportację do wschodniej Syberji, praktykował w mieście i cieszył się ogromną wziętością w Irkucku, jako lekarz biegły, sumienny i jako człowiek wykształcony i uczynny. Ożenił się on następnie z młodą, sympatyczną i ładną panienką, z pochodzenia Sybiraczką, z domu kupieckiego „Zimych“. Młoda osoba, poślubiona polakowi, stała się wprędce polką prawdziwą, nauczyła się poprawnie czytać i pisać po polsku, a myśli swoje i uczucia zespoliła z uczuciami i myślami na wskróś polskiemi swego małżonka; ukochała całem sercem naród nieszczęśliwy, którego odtąd cząstką wierną pozostała. Po paru latach pożycia małżeńskiego Dr. B. zachorował na gruźlicę i umarł, szczerze żałowany, na rękach przyjaciół i młodej małżonki. Ta ostatnia w chwili zgonu ukochanego męża i przyjaciela zemdlała i tak nieszczęśliwie upadła na krawędź łóżka, że gdy ją z omdlenia ocucono, okazała się zupełnie bezwładną, pozbawioną mowy i możności połykania nawet płynnych pokarmów. Lekarze, koledzy zmarłego, zajęli się początkowo bardzo gorliwie chorą, ale widząc próżne starania swoje, zwątpili w skuteczność leczenia, a nie robiąc żadnej nadziei na przyszłość, zdali pacjentkę na łaskę Pana Boga. Woźniacki sam jeden tylko nie zwątpił: nie opuścił chorej, całe dwa lata nią się opiekował z gorliwością i troskliwością siostry miłosierdzia, karmił ją sztucznymi sposobami, przyrządzał pokarmy etc. i tylko ci, co wiedzą z doświadczenia własnego, jakiego stopnia pieczołowitości wymaga traktowanie człowieka zgoła bezwładnego i niemownego i to w ciągu dwóch lat całych — ci tylko, powiadam, ocenić potrafią niezmierny zasób cierpliwości i umiejętności leczniczej, jakie w tym wypadku wykazał Woźniacki, a miał on tę jedyną, ale prawdziwie godną swej pracy nagrodę, że powołał do nowego życia osobę, której działalność cicha i skromna przynosi zaszczyt płci niewieściej i społeczeństwu, na łonie którego się wykształciła. Rzadko widziałem w życiu mojem kobietę bardziej sympatyczną, skromną i wykształconą, jak pani Birfrejnd. Gdy powróciła do zdrowia, zajęła się dalszem kształceniem siebie i swego otoczenia, a nadto pracą specjalną, teoretyczną, mającą na celu przysposobienie się do zawodu buchalterki i telegrafistki; zdała następnie egzamin z obu przedmiotów, zajęła później posadę odpowiednią i ciężką, sumienną, samodzielną pracą zdołała się utrzymać sama i nieść ciągłą, cichą i skuteczną pomoc swym, w duchu przybranym ziomkom, zespoliwszy się z nimi w myślach, dążnościach, uczuciach i nadziejach.

wpadającą do Jngody. W liczbie wysłanych do Darasunia był także i Wroński. Tutaj, wśród pięknej, górskiej okolicy, przerzynanej malowniczemi rzeczkami i potokami, urozmaiconej szerokiemi, kwiecistemi łąkami, mógł Wroński w spokoju oddawać się studjom, by czerpać z nich później tematy do obrazów olejnych i do rysunków ołówkowych, tutaj także nadarzyła mu się sposobność znaczniejszego zarobku, bo, gdy, z okazji przejazdu generał-gubernatora Korsakowa, mieszkańcy miasta Czyty postanowili urządzić wspaniałe przyjęcie dla wielkorządcy, ogólnie lubianego przez ludność tamtejszą, to Wrońskiego wezwano do miasta, gdzie wykonał szereg malowideł dekoracyjnych, ściennych, freskowych, kurtynowych, a także parę obrazów olejnych, odtwarzając na nich przeważnie widoki okolic zabajkalskich, które się wielce podobały publiczności Czytyńskiej i nawet bardziej od niej wymagającym znawcom pochodzenia europejskiego. Wtedy to po raz pierwszy zarobił Wroński tyle, że mógł już pomyśleć o wypisaniu z Warszawy farb olejnych, płócien i innych dla siebie potrzebnych przyrządów, przyczem nie zapomniał, wracając do Darasunia, zaopatrzyć się w porządny zasób cukru i czekolady.

Pomyślny stan interesów pieniężnych nie trwał jednak zbyt długo, gdyż już w następnym roku rozkazano przewieźć wszystkich prawie skazanych, z kraju Zabajkalskiego do Irkucka, musieli więc oni opuścić miejsce dotychczasowego pobytu, pozbyć się wszystkiego, co sobie dotąd pracą ciężką zdobyli, by nowe rozpocząć życie, wśród warunków znacznie gorszych, bo o wiele nieprzyjaźniejszych od poprzednich.

W Irkucku pozostawiono tylko rzemieślników, do nich zaliczono także i Wrońskiego. Zdawało się też na chwilę, że pobyt w stolicy Syberji wschodniej przysporzyć może i powinien malarzowi środków potrzebnych do egzystencji znośnej i koniecznej dla prac samodzielnych, artystycznych, sądzono bowiem, że się znaleźć w takiem mieście przecie musi pewna ilość amatorów sztuk pięknych, którzy zakupywać będą malowidła ku ozdobie swoich salonów, z drugiej strony miano nadzieję na obstalunki obrazów świętych, nowych; na restaurację starych, a również i na lekcje prywatne rysunków, dawanych po domach mieszkańców bogatszych, jakich nie brak w Irkucku. Atoli rachuby wszelkie i nadzieje zawiodły. I tak: malowidła, a szczególniej pejzaże, z małymi wyjątkami, nie znalazły odbytu w mieście. Sybiracy zamożni i Rosjanie, czasowo zamieszkali, jeżeli zdobią swoje salony, to albo obrazami świętych, lśniących od złota i srebra, albo portretami osób panujących i członków ich rodzin; drzewa, lasy, góry, skały, ruczaje i rzeki nie mają żadnej dla nich wartości. Co do obrazów świętych, to te muszą być konie-cznie malowane podług szablonu prawosławnego, a nie modelowane na wzór istot ludzkich. Im mniej na obrazie takim jest cech życia człowieczego, tem łatwiej uznawany on bywa za święty: u świętych palce powinny być proste „jak świeczki“, bez żadnych zgięć w stawach, twarze bez wszelkiego wyrazu, czoła gładkie, bezmyślne. Cały układ ciała świętych i ukrzyżowanego Zbawiciela jest z góry ściśle oznaczony, rozmieszczenie osób uskutecznia się podług rangi i płci, zarysy ubrania, fałdy sukien, zawiązanie przepasek na węzeł „święty“, mają swoje kanony; nawet kolor krwi „malinowy“ i barwa krzyża „ceglasta“ (kirpicznaho cwieta), są obowiązującemi dla malarza. Wszystko na takich obrazach musi być wykonane, jak powiadają znawcy, według nakazu władzy duchownej („pa duchownomu prykazu“). Wierzenia rdzennego prawosławnego, upostaciowanie świętych, którym się kłania, zresztą całe życie jego odbywa się „pa prykazu“. To też dobrze określa taką machinę społeczną czterowiersz następujący:

Nam prykażut, my staim,
Nam prykażut, my idiom,
Nam prykażut, my leżym,
I do prykaza w grobie spim.

Jeżeli ma być znalezione dowodne i dotykalne potwierdzenie prawdy słów tego orzeczenia, że nie ludzie zostali uformowani na podobieństwo Bogów, lecz, że przeciwnie, Bogowie byli każdorazowie tworzeni na modłę ducha danego narodu i społeczeństwa i z nim razem odbywali stopniowe i kolejne przeobrażenia swoje — to go nie gdzie indziej szukać mamy, jak na parnasie, o którym była mowa uprzednio, tam bowiem odźwierciedla się tak potężnie skostniałość i zrutynizowanie ducha ludzkiego w dobie obecnej, że śmiało powiedzieć można: „jakimi jesteście sami, takimi są też i wasi Bogowie“.

Wroński zawiódł się strasznie, gdy za namową swoich przyjaciół podjął się przemalować dla bogatej mieszczki w Irkucku jakiś duży obraz wytarty, przedstawiający ukrzyżowanego Zbawiciela w asystencji dwóch grup, jednej, złożonej z kobiet, drugiej z mężów świętych.

Znawczyni prawideł i przepisów malowania cerkiewnego, właścicielka owego obrazu świętego, znalazła w malowidle, wykonanem przez Wrońskiego tyle herezji barwnych i postaciowych, tyle nieprawidłowości grzesznych w ugrupowaniu świętych, że nie chciała przyjąć obrazu nawet i za darmo, co więcej, posądziła malarza o chęć pozbawienia jej wiecznej szczęśliwości w raju, gdy ją namawiał do przyjęcia malowidła heretycznego. Tyle narobiła hałasu, tyle z nią miał kłopotu Wroński, gdy musiał przerabiać obraz cały według jej wskazówek, że odtąd zarzekł się malować świętych dla mieszczan syberyjskich.

O ile mieszczanie, a szczególniej mieszczanki i kupcowe zamożniejsze, a zwykle wielce ubogiego ducha, są skrupulatne pod względem upostaciowania swoich świętych, o tyle znowu włościanie nie mają żadnego pojęcia o jakichś prawidłach malarskich, to też nie są wybredni w dobieraniu „bohomazów“ dla swoich ołtarzów domowych. Byleby był blachą kryty, a wszelki obraz znajduje pierwsze miejsce w kącie „świętym„: obok niego mieszczą się inne, mniej cenne, bo bez blachy, przyczem dostają się tutaj i święci różnych wyznań, a nawet i potwory niekiedy. Tak np. widziałem we wsi Ili, w kraju Zabajkalskim, zawieszony u ołtarza w izbie paradnej włościanina, obraz kolorowany, przedstawiający „Mis Julja Pastrana“, naiwnie umieszczony obok św. Jana Cudotwórcy. Gdym zapytał gospodyni, jaki to święty, odpowiedziała, że to jest „Boh“, tylko nie wie, jak się nazywa, bo podpis nie jest rosyjski. Dla tej kategorji mieszkańców Syberji Wroński malował często, ale robił to bezinteresownie, odnawiał on zczerniałe obrazy, a szczególnie te części ciała świętych, które są jedynie widzialne z pod blachy, jaką pokrywają obrazy, dla nadania im większej wartości i znaczenia, a także dla pewniejszej skuteczności próźb i modłów. Co do świętych kościoła katolickiego, to malował Wroński jeden obraz tylko do wielkiego ołtarza w kościele Irkuckim. Wziął on za model patrjarchalną postać Gerwazego Gzowskiego, dwukrotnie zsyłanego do kopalń syberyjskich. Nie portretował rzeczonego wygnańca, lecz umiał oddać energję woli przy łagodności oblicza, czyli przymiotów, jakiemi się odznaczał Gzowski, ten typ, „sybiraka“ z czasów Piotra Wysockiego, Erenberga, Boprego, Krajewskich, Antoniego Wałeciego, Agatona Gillera, Dalewskich etc., o których pamięć trwa dotąd wśród mieszkańców porzecza Arguni i Onona, jak o tem nieraz przekonać się mogłem osobiście.

(Ciąg dalszy nastąpi).

9)

Z wycieczki do Słowacji.

(Ciąg dalszy).

Zaraz na wstępie dowiedzieliśmy się, ile warta jest statystyka węgierska.

— Wieś w której trzymam ekonomję — mówi ks. Hlinka — liczy 400 dusz. Oprócz mnie i nauczyciela, nikt nie umie po madziarsku. Kiedy się mnie pytali o znajomość języka madziarskiego, odpowiedziałem, że umiem, ale niech się nie ważą zapisywać mnie za madziara, gdyż będę potestował. I co panowie powiecie? We wsi mojej wykazano sześćdziesięciu madziarów.

— A cóż lud na to?

— Lud się burzy i miota w swej niemocy. Kiedy się zbliżają wybory, my zamiast agitować na rzecz kandydatów słowaków, musimy powstrzymywać agitację, podsuwając kandydatów madziarów z partji ludowej. Inaczej lud rzuciłby się z gołemi rękami na bagnety. „Albo niech nas powystrzeliwają jak psów — krzyczą chłopi — albo niech raz porządek będzie!“

— Ale czy będzie kiedy porządek?

— Dopóki szowinizm, pycha, manja wielkości madziarów nie ulegną pod ciosem jakiegoś kataklizmu politycznego, o zmianie na lepsze mowy nawet być nie może. Jesteśmy za górami, za lasami, odcięci od świata, oddani na łaskę i niełaskę narodu innej rasy, biedni i w gruncie rzeczy potulni.

— Ależ może wam się uda przeprowadzić choć jednego posła do parlamentu! Przecież w Poznańskiem, w Prusiech...

— Cha! cha! cha! Także porównanie! Dobrzeby było, abyście się przekonali naocznie, jak się u nas odbywają wybory.

W tej chwili jeden z uczestników besedy poprosił o głos.

Czujme, niby nasze „czuj duch“, odezwało się zewsząd. Co za rozczarowanie! Wzniesiono toast na naszą cześć. Lecz dobry przykład poskutkował. Zaczęły się sypać mowy. Wszystkie były zabarwione kwestjami bądź politycznemi, bądź socjalnemi i miały charakter dydaktyczny. Niektórzy mowcy zwracali się do młodzieży; młodzież również odpowiadała. Sądząc z tych przemówień, wnosić by należało, iż i do Słowacji duch socjalizmu, anarchizmu i zgrozo, dekadentyzmu przenika potroszę.

— Czyżby tu grunt już był potemu?

Zamiast odpowiedzi, ks. Hlinka podsunął mi numer 174 „Narodnich novin“. „Madziarzy — pisze dziennik św. marciński — mają obecnie zakładać bibljoteki ludowe po całym kraju, rzekomo, aby lud chronić od wpływu nauk socjalistycznych. Rzecz prosta, iż nadzór nad temi biljotekami będzie miał wyłącznie rząd. Warunek ten poucza nas dostatecznie, jakie to książki i czasopisma i dla czego dostaną się do tych biljotek“. — Co tc znaczy, iż książki i broszury tłómaczycie głównie z rosyjskiego? Wszakże ani religja, ani obyczaje nie łączą was tak blisko ze społeczeństwem rosyjskiem,

abyście w literaturze potrzebowali się wzorować na jego ideałach.

Na to pytanie otrzymaliśmy odpowiedź wymijającą.

— A czemu tak mało tłómaczycie utworów z polskiego?

— Tak, jakoś się złożyło...

— A jednak w tej chwili przydałaby się wam „Oda do młodości“:

„Razem, młodzi przyjaciele!
„W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
„Jednością silni, rozumni szałem,
„Razem, młodzi przyjaciele!.,.“

Lecz dość na dziś. Toż to trzecie kury pieją! Czas do łóżka. Chmielowski, któremu cytaty sypią się z głowy, jak z rogu obfitości, dodaje:

„Najlepszy dla ducha upominek
„Jest spoczynek.

Nazajutrz zrana odbyły się dwa walne posiedzenia; jedno: Musealnej slovenskiej społočnosti, a drugie: stowarzyszenia niewieściego Živeny.

Z tych, czy innych powodów uznaliśmy za stosowne wstrzymać się od uczestniczenia w zebraniu ławą. Poszedł tylko prof. Baudouin z racji swoich studjów nad językiem, a zwłaszcza nad pewnemi szczegółami wymawiania, jak np., czy słowacy wymawiają l, jak czesi, czy też w pewnych wypadkach zamieniają je na ł, czy d i r, kiedy po nich następuje e, wymawiają miękko, chociaż zmiękczenia tego nie oznaczają; czy i z następującemi po niem samogłoskami (a, e, i t. d.) tworzy dyftong lub nie, wreszcie, czy wymowa w ustach inteligencji, ulegającej poniekąd wpływowi czeszczyzny, różni się wielce od wymowy w ustach ludu.

Co prof. Baudouin zdobył dla nauki na tem posiedzeniu, trudno się było dowiedzieć, gdyż za powrotem do hotelu wyrażał tylko swój zachwyt nad przemówieniem księdza Kmeta, prezesa stowarzyszenia muzealnego. „Demostenes, Demostenes! Co za jasność myśli! Co za spokój i potoczystość mowy! Co za powaga w ruchach! Istny Demostenes!... Szkoda, wstyd, żeście nie byli na posiedzeniu — wołał prof. Baudouin, chodząc po pokoju.

— Stało się! Powetujemy sobie przy obiedzie składkowym, na którym ks. Kmet będzie z pewnością.

— Wam tylko jedzenie i picie w głowie — zawołał z oburzeniem.

— W głowie, jak w głowie, ale w żołądku by się przydało, boć to pierwsza godzina nadchodzi.

Jakoż wkrótce opuściliśmy hotel. Po drodze wstąpiliśmy do księgarni, aby zaopatrzyć się w książki, broszury, „Wieńce pieśni“, nuty. Samych pieśni ludowych z muzyką „słowackie kółko spiewacze“ (Slovensky Spevokoł) wydało cztery tomy. Co za skarby dla rozwoju sztuki! Co za energja tego społeczeństwa, które, pozbawione całkiem środków do pracy na polu artystyczno-literackiem i naukowem, potrafi jeszcze działać!

Do „velkej dvorany“ (wielkiej sali) w „Domu narodowym“ dostać się nie mogliśmy. Otoczeni tłumem współbiesiadników w przysionku, to witaliśmy się ze znajomymi, to zawieraliśmy nowe znajomości, tośmy odpowiadali na szereg pytań, to znowu sami zarzucaliśmy innych pytaniami. Już, już mieliśmy wejść do sali, kiedy nagle wpadł na nas z impetem tęgi mężczyzna, z jasnem okiem, szerokiem czołem, żywy w ruchach, wołając:

— Wyście polacy?

— Tak.

— Jestem N., słowak, adwokat z Pragi.

— Bardzo nam miło!

— Polacy piją wódkę przed jedzeniem. Chodźcie ze mną na górę, dam wam koniaku.

Idziemy tedy na górę, zaznajamiamy się z żoną adwokata i jego świeścią, wypijamy co było we flaszce, bo humor prowadzi do rozpusty i w kilka chwil schodzimy wraz z paniami do sali.

Przy stołach, ustawionych w cztery rzędy, siedziało przeszło trzysta osób. Dla wielu zabrakło miejsca i te uczestniczyły myślą w bocznych pokojach. Galerja i dwie loże były przepełnione widzami. Z tytułu gości wyznaczono nam miejsce obok ks. Kmeta, a nieopodal zasłużonego patryarchy ruchu narodowego i umysłowego słowaków, p. Jana Francisciego i przewodniczącej w stowarzyszeniu „Živeny“, pani Heleny Solteszowej. Oboje prezydowali przy stole. Sala wyglądała malowniczo. Stroje były bardzo gustowne. Wiele panien wystąpiło w szatach ludowych. Szkoda tylko, iż mężczyźni nie przedzielali dam na przemian: widok sali byłby zyskał na malowniczości, a uczta na ożywieniu.

A. Sygietyński

(Ciąg dalszy nastąpi).

SPŁATA

PRZEZ

PAWŁA BOURGET'A.

Przekład Eugenji Żmijewskiej.

Byli to wyłącznie artyści literaccy — kilku nawet wybitnych — mnie wówczas zajmowała bardziej analiza od stylu, psychologja bardziej od estetyki.

Opuszczałem ich zwykle niezadowolony z siebie; naprzód dlatego, że zamiast pracować,

traciłem czas na gawędzie, a i dlatego również, że ich odmienna osobistość przejmowała mnie powątpiewaniem co do wartości mojej własnej.

Otóż owego popołudnia — pamiętam, jak gdyby to było dzisiaj — wszedłszy do ogrodu Luksemburskiego, błądziłem po alejach, zasmucony tem osamotnieniem duchowem tak dotkliwem w młodym wieku. Widzę, jak Corbières zbliża się od strony przeciwnej i podchodzi do mnie uradowany — nietyle na mój widok, co na wspomnienie wspólnej przeszłości, której żałujemy zaraz po opuszczeniu ław szkolnych.

Poczęłiśmy iść razem, zadając sobie wzajem pytania. Mówiłem mu, ze zajmuję się literaturą; on mi opowiadał, że studjuje medycynę, a tłumacząc mi ów wybór, przytaczał powody tak specjalne, tak odpowiadające nastrojowi mojego umysłu, że uczułem nagłą do niego sympatję. Zaprzyjaźniliśmy się odrazu. Za młodu, pewne wspólności dążeń i uczuć starczą za długie lata stosunków zażyłych.

— Rodzice moi — powiadał — życzyli sobie, abym po odbyciu wojskowości, wstąpił na prawo. Ojciec mój był przez lat trzydzieści woźnym w ministerjum spraw zagranicznych. W roku zeszłym wystąpił ze służby. Żywi kult dla karjery administracyjnej. W marzeniach swych widział mnie prefektem. Na szczęście jednak, kocha mnie bez miary, tak, jak i moja matka. Bylem ich nie opuścił, radzi ze wszystkiego.Gdy im oświadczyłem, że wstąpię na medecynę, zdziwili się, trochę zmartwili, ale zezwolili odrazu. Jako powód podałem im, że przy chwiejności obecnej polityki, urzędy państwowe nie przedstawiają takich rękojmi, jak za cesarstwa. Nie powiedziałem im istotnej przyczyny. Moi poczciwi staruszkowie znają tylko filozofję serca i nie zrozumieliby mojego punktu widzenia... Ty go zrozumiesz.

Moje zamiłowania osobiste pociągały mnie ku studjom abstrakcyjnym. Chciałem wstąpić do szkoły Normalnej i studjować tam metafizykę, ale z dzieł Kanta i Taina nabrałem przekonania, że istota nauk filozoficznych jest zbyt mglista. Mój umysł łaknął czegoś pozytywnego. Dają to jedynie nauki przyrodnicze. Dlatego ku nim się zwróciłem.

Nie wiem do jakich doszedłeś przekonań moralnych. Ja trzymam się agnostycyzmu, uważam, że nauka nie może nam dowieść, czy istnieje lub nie istnieje: Bóg, zło i dobro, życie zagrobowe, dusza nieśmiertelna... A jednak działać trzeba. Ja przynajmniej czuję konieczność czynu, zwłaszcza po wojnie..

Mam takie uczucie, jak gdybym znajdował się na okręcie w chwili niebezpieczeństwa...

Każdy, kto może, powinien brać udział w ratunku. To też zadałem sobie pytanie: która z nauk przyrodniczych bardziej od innych nadaje się do zastosowania praktycznego?

I odpowiedziałem sobie: medycyna, wzięta z wysokiego punktu widzenia... Rozważ bowiem jej zadania.

Przypuśćmy, że teorje spirytualistyczne, a posuwając się dalej na tej drodze, że teorje chrześcjańskie zostały udowodnione.

Jakiż nam to wskazuje obowiązek?

Nieść ulgę cierpiącej ludzkości.

Lekarz to spełnia.

Przypuśćmy, że zostały udowodnione teorje wręcz przeciwne?

Do czego wówczas redukuje się moralność?

Do instynktu, który należy zadowolić, jak wszystkie instynkty, a który zasadza się na potrzebie jednoczenia się z ludźmi, wspomagania naszych bliźnich i otrzymywania od nich pomocy.

Któż lepiej od lekarza takie zadanie spełnia?

Jest on altruistą *par excellence*. Jego zawód ma rację bytu z wszelkich punktów widzenia. Tak to sobie tłómaczyłem, a rozumowanie było widocznie słusznem, bo od dnia, w którym przekroczyłem próg szpitala, w sercu mem zapanował spokój, nieznany mi dotychczas. Miałem takie uczucie, jakbym intelektualnie i moralnie oparł się o grunt twardy, pewny, niezachwiany. Przestałem wątpić.

Mówiąc to, Corbières przeistoczył się zupełnie. Płomień myśli ożywiał jego twarz i czynił ją prawie piękną.

W rzeczywistości syn woźnego był pospolity i brzydki. Cała jego budowa zdradzała nawpół wieśniacze, nawpół mieszczańskie pochodzenie: brakło mu siły fizycznej, cechującej chłopa, a nie odznaczał się też burżuazyjną zręcznością kształtów i ruchów. Miał kości grube, muszkuły wątłe, rysy nieforemne i zamało krwi w żyłach.

Ale za to usta uśmiechały się łagodnie, a w oczach niebieskich była taka prawość, że kto w nie spojrzał, musiał uwierzyć, iż ten człowiek kłamać nie umie. Przekonywał też do siebie nietylko spojrzeniem, ale i głosem ujmującym.

To tłumaczy, dlaczego jego słowa zrobiły na mnie tak silne wrażenie. Pamiętam je wybornie, bo je spisałem w moim dzienniku tego wieczora, z wielu innemi szczegółami, których nie warto powtarzać. Świadczyły one jednak o moim zachwycie dla odnalezionego kolegi.

Przypuszczam i mam nadzieję, że i dziś w cieniu tych samych drzew ogrodu Luksemburskiego, w obliczu tych samych posągów, młodzi ludzie zastanawiają się tak samo nad zagadnieniami społecznemi, tak samo starają się przeniknąć zagadkę bytu i rozprawiają w tym samym tonie podniosłym. Jeśli czego

z mojej młodości żałuję, to takich rozmów, owej wrażliwości duszy i tej łatwości do zapałów.

Tak się rozmiłowałem odrazu w moim koledze, że tegoż wieczora odprowadziłem go do domu, a gdyśmy przed nim stanęli. on znowu zaproponował, że mnie do domu odprowadzi.

Rozstaliśmy się około północy, w tej nieskończonej gawędzie potrąciwszy o wszystkie zagadnienia ludzkiej myśli. *(C. d. n.)*

Fr. MAŽURANIĆ.

Wróbel.

Na wiosnę 1875 r. huk wystrzałów armatnich wstrząsnął Pragą. Znak, że lód pękł na Wełtawie.

Woda przybiera, — ha, może jeszcze powódź zaleje miasto!

Olbrzymie bryły biją w mostowe słupy, aż most chwieje się i drga pod nogami.

Wokoło słupów potworzyły się naturalne „lodochrony“ z kry, która skupiwszy się w tych punktach, zasłania most od ponownych uderzeń lodowych płyt.

Na moście tłoczą się ciekawi.

Wtem przebiega z ust do ust wołanie: „Koukej! koukej!“ (Patrz! patrz!“)

Tłum pomknął ku środkowi mostu.

Cóż się stało?

Oto na jednej z brył, które zatrzymały się u słupów, dojrzano wróbla.

Biedactwo, mokre i zmarznięte, podskakuje, chce wzlecieć, lecz nie ma sił i po każdej próbie opada na taflę lodową.

— „Chudaček!“

— „Armer Teufel!“ — słychać zgodne ubolewania w obu językach krajowych, co niezmiernie rzadko zdarza się w Czechach.

Nieszczęsny ptaszek pozyskał sobie wszystkie serca i wszyscy troszczą się jego losem.

Zdołaż niebożątko ujść śmierci, czy też wpadnie w wodę?... A może nowo nadpływająca fala uniesie go kędyś w dal? Może znajdzie się taki, co go uratuje?...

Nagle dreszcz przebiegł zgromadzonych.

— „Pro pana boha, koukej!“

— „Ist denn der Mensch Wahnsinnig?“

Jakoż rzeczywiście: szaleniec jakiś wskoczył w czółno i odbił od brzegu — — — Hej, pierwsza kra zgniecie go, zmiażdży!.,.

Patrzącym oddech zaparło w piersiach — — — Ale śmiałek wciąż płynął, zręcznie omijając bryły lodowe, aż dosięgnął wróbla i szczęśliwie wrócił z nim na brzeg.

Zgromadzona publiczność powitała jego powrót okrzykami wesela.

— — — Jak dobre jednak serce mają ci ludzie — myślałem, patrząc na promieniejące radością twarze, w których zdawała się odzwierciedlać dusza. I jak pięknym, harmonijnym wydawał mi się świat!...

I mogłoż być inaczej? Byłem wówczas młody, bardzo młody!... *Tł. M. W.*

Z pism i książek.

Dr. Stanisław Krysiński. Słownictwo anatomiczne. Część I. i II. Warszawa 1898.

Obszerne dwutomowe dzieło, którego tytuł podaliśmy powyżej jest pośmiertnem wydaniem pracy dr. Krysińskiego, wydanej z niektóremi zmianami przez dr. Stanisława Maskiewicza i grono kolegów zmarłego autora.

Od r. 1610, w którym uczeń Fabriciusa ab Aquapendente akademik Zamojski Jan Niedźwiedzki (Joannes Ursium Leopoliensis) wydał ułożoną przez siebie „Naukę o kościach“, w której obok nazw greckich, rzymskich i arabskich pomieszcza wszędzie i nazwy polskie, do chwili obecnej mieliśmy 20 bądź oryginalnych, bądź tłumaczonych dzieł wyłącznie anatomji poświęconych, a prócz tego posiadamy słownik anatomiczno-fizjologiczny opracowany przez profesorów Józefa Mayera i Fryderyka Skobla (Kraków 1838), z którego skrócony wyciąg pomieszczony został w słowniku terminologji lekarskiej, wydanym przez prof. Janikowskiego, Oettingera i Kremera (1881).

Porównywując te dzieła i całą na nasze stosunki wcale nie biedną naszą literaturę lekarską, przekonać się można, że nasze słownictwo anatomiczne, odźwierciedlające wszystkie wady słownictwa łacińskiego, jest jednak również dowolne i nieustalone, jak łacińskie.

Praca dr. Krysińskiego ma temu zaradzić, a opiera się na zasadach świeżo wydanego słownictwa powszechnego. To ostatnie jest rezultatem 6-letniej mozolnej i sumiennej pracy obszernego grona wybitnych na polu nauki powag niemieckich i na IX. zjeździe anatomów w Bazylei w r. 1895 zostało zalecone do powszechnego użytku,

Wykaz tych nazw łacińskich, przyjętych na zjeździe w Bazylei wraz z przekładem na język polski i obszernem (prawie 5 arkuszy obejmującem) objaśnieniem tego wykazu, zajmuje część I-szą pracy śp. Krysińskiego. Druga część zawiera opracowany samodzielnie przez autora słownik łacińsko-polski i polsko-łaciński.

Dzieło wydane jest z zapomogi kasy im. Mianowskiego, i jak wszystkie jej wydawnictwa, kosztuje nadzwyczaj tanio, bo za 2 tomy (35 arkuszy druku) wielkiego formatu, z rycinami rs. 1 kop. 50. —

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.